



Kryminał z myszką

18

DOM CICHEJ ŚMIERCI

PORUCZNIK HENRY
HOPKINS NA TROPIE

Tadeusz
Kostecki

Tadeusz Kostecki

DOM CICHEJ ŚMIERCI

Kryminał z myszką – Tom 18

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2022

ISBN: 978-83-67296-44-1

Copyright © Jerzy Tadeusz Czaplicki

Projekt okładki: Pola Augustynowicz

SPIS TREŚCI

- I. Przyjazd
- II. Jaka będzie przyczyna śmierci następnej ofiary...
- III. Zamknięty pokój
- IV. Bogini Matka
- V. Złamana strzała
- VI. „Pierzasta śmierć” dosięga ofiary
- VII. Sprawa zawisa w próżni
- VIII. Detektyw z uniwersyteckim wykształceniem
- IX. Nie cofnąłbym się przed niczym...
- X. Tajemnica zaginionej dmuchawki
- XI. Pomysł Jacka Granmore’a
- XII. Znikająca kula
- XIII. Ofiara Bogini Mai
- XIV. Koszula z japońskiego jedwabiu
- XV. Kurczątka z obciętą głową
- XVI. Nero
- XVII. Nerwy odmawiają posłuszeństwa
- XVIII. Profesor William B. Hoppe zeznaje
- XIX. Dependent Browster przynosi wstyd swemu pryncypałowi
- XX. Dobry dzień konstabla Browna
- XXI. Życie bez kwiatów byłoby bardzo smutne
- XXII. Orchidea
- XXIII. Śmierć Nera
- XXIV. Analiza chemiczna i świnka morska
- XXV. Ostatnie ogniwo
- XXVI. Rewizja
- XXVII. Nakaz zatrzymania
- XXVIII. Inne wyjście
- XXIX. Wiwisekcja duszy
- XXX. Wszystko przemija

I. Przyjazd

Kontury odjeżdżającej dorożki rozplýwały się w gęstej mgle. Rubinowy punkcik tylnej latarki migotał coraz bardziej niewyraźnie, wreszcie zniknął bez śladu. Jeszcze przez chwilę dobiegał głuchnący odgłos stukotu końskich kopyt o wyboisty bruk, potem nastała cisza. Jacka Granmore'a opanowało dziwne uczucie samotności. Ściągnął szczelniej płaszcz na piersi. Niewiele jednak pomogło. Wilgoć wciskała się pod ubranie łechcąc zziębniętą skórę oślizłymi mackami.

Oddalona od sąsiadów willa tonęła w ciemnościach.

Brnął niemal po omacku po nierównych flizach chodnika.

Połyaskujące matowo wilgocią stalowe pręty sztachet zagroziły dalszą drogę.

Gdzie tu może być dzwonek? – zastanawiał się, bezskutecznie obmacując sztachety.

Wreszcie sięgnął po zapaliki. Nie poszło jednak tak łatwo. Widocznie mocno zawilgły.

Dopiero któraś tam z rzędu trzasnęła ogniem. W chybotliwym odbłasku żółtego płomyka dojrzał rękojeść dzwonka. Ale dojrzał również, że furka była uchylona.

Podniósł z ziemi ciężką walizkę i wszedł do ogródka.

Pod podeszwami zachrząścił żwir.

Jeszcze kilka kroków i wyczuł pod nogami betonowe stopnie tarasu.

Tym razem szukanie dzwonka nie sprawiło najmniejszych trudności. Znajdował się tam, gdzie powinien się znajdować w każdym przyzwoitym angielskim domu. Nacisnął go z uczuciem ulgi. Wędrówka na ośle w ciemnościach zaczęła go już nużyć.

I ten piekielny gąszcz otaczającej mgły! Jeszcze kilka dni temu wylegiwał się na rozprężonej w potokach promieni słonecznych plaży Florydy. Wylegiwałby się jeszcze i dziś, zamiast nasiąkać jak gąbka mgłą Starego Kraju, gdyby nie list stryja Williama.

Profesor archeologii i iluś tam jeszcze fakultetów, William B. Hoppe, nie miał zwyczaju rzucania słów na wiatr. I jeżeli pisał w ten sposób...

A napisał tak, że Jack wsiadł na najbliższy parowiec zapominając, że daleko jeszcze do końca urlopu.

Terkotanie dzwonka rozerwało ciszę na strzępy, ginąc bez echa gdzieś w głębi domu.

Jack przeczekał dłuższą chwilę. Nie wypada budzić wszystkich domowników nocnym alarmem.

Jednak czekanie zaczęło się przeciągać w nieskończoność. Chcąc nie chcąc, wyciągnął ponownie rękę w kierunku przycisku.

Palec jednak nie dotarł do celu zamierając w pół drogi. Jack drgnął mimo woli na odgłos szurania trawy. Odniosł wrażenie, jakby źródło szmeru znajdowało się tuż poza jego plecami.

Odwrócił się raptownie na pięcie, usiłując przebić zasłonę mroku spojrzeniem wytężonych oczu. Nie zdołał jednak zobaczyć nic konkretnego. Tylko w jednym miejscu, w odległości jakichś niespełna dwóch jardów, było jakby ciemniej.

– Kto tam? – zapytał półgłosem.

Pytanie padło w próżnię.

Wzruszył ramionami.

– Głupstwo. – Odwrócił się powoli ku drzwiom. – Jakiś kot na nocnych łowach, to wszystko.

W tej samej chwili jednak znowu coś zaszurało. To nie był kot. Raczej skradające się stopy bosych nóg człowieka.

Jack poczuł się nieswojo. Co u licha za kawały? Znowu sięgnął do kieszeni płaszcza i wydobyl zapaliki. Zanim jednak zdołał zapalić, szuranie nagle umilkło.

Gdy osłaniając dłonią płonące drewnienko, skierował nagle światło w stronę tajemniczych odgłosów, ujrzał jedynie trawnik zasłany zwiędłymi liśćmi. Trawniki były niewątpliwie puste.

– Kot – mruknął bez przekonania, naciskając dzwonek.

W głębi duszy jednak nie wierzył w tego kota.

Teraz zachrząścił przeciągle żwir na ścieżce.

Z tęsknotą pomyślał o pistolecie tkwiącym na samym dnie wyładowanej walizki. Oczywiście nie było mowy, by go stamtąd wydobyć w tej chwili.

A żwir szeleścił bez przerwy. I szelest raczej się zbliżał.

Zacisnął pięść. W ostateczności porządny cios też może odnieść jakiś taki skutek. Robiło mu się jednak coraz bardziej nieprzyjemnie.

Dlaczego u licha nie otwierają? – Zżuł w zębach przekleństwo. Bo i tym razem dźwięk dzwonka nie wywołał w uśpionym domu żadnego oddźwięku.

Czyżby wszyscy wyprowadzili się w czasie jego podróży przez ocean? Albo... – Poczł drobny dreszczyk przebiegający wzdłuż krzyża. Bo jeżeli w tym domu było tak, jak pisał stryj, przez te kilka dni mogły zajść rozmaite wypadki.

Mało istniało na świecie rzeczy, które byłyby zdolne wyprowadzić Jacka Granmore'a z równowagi. Ale gdy podnosił zapaloną zapalniczkę do tkwiącego w zębach coraz bardziej rozmiękłego cygara, zauważył z dezaprobatą, że ręka lekko drżała.

Histeria – syknął ze złością. – Wszystko przez ten dziwny list.

Tym razem długo nie odrywał palca od dzwonka. Musi przecież przekonać się, czy ktoś jeszcze pozostał w domu.

Dzwonił tak zajadle, że poczuł świdrowanie w bębenkach uszu.

– Umarłego by obudziło... – Nagle urwał, odpływając gorzką od nikotyny śliną. Zwykle powiedzonko nabierało w świetle listu stryja całkiem specyficznego znaczenia.

Nieoczekiwanie, martwe dotychczas okna rozbiły się jaskrawym odbłaskiem silnego światła. I to wszystkie naraz. Jednocześnie mleczna kula nad tarasem spłynęła oślepiającymi potokami jasności.

Zrobiło się niemal widno.

Odetchnął z ulgą. Nareszcie! Makabryczne przypuszczenia zapadły z miejsca w nicość. Spali trochę mocniej, ot i cała przyczyna.

Zerknął przez ramię w tył. W ogródku nie było nikogo. Zza drzwi dobiegał odgłos ciężkich kroków. Szczęknął parokrotnie przekręcany zamek. Zgrzytnęła zasława. Zabrzęczał metalicznym odgłosem łańcuch. Drzwi uchyliły się nieznacznie.

– Kto tam? – W kobiecym głosie brzmiała wyraźna trwoga.

Jack roześmiał się.

– Ależ fortecę urządziliście! To ja, Granmore.

Prezentacja jednak widocznie nie wystarczała.

– Co za Granmore? – Głos był nieznajomy i dźwięczał nieukrywaną nieufnością.

Jack zaczął się niecierpliwić nie na żarty.

– Jack Granmore – syknął niezbyt uprzejmie. – Co znowu za historia? Jestem siostrzeńcem profesora...

– Chwileczkę. Przepraszam.

Wbrew oczekiwaniom, drzwi zatrzasnęły się z powrotem. Odgłos kroków świadczył, że niegościnna osoba oddalała się w głąb domu. Jack żuł z wściekłością zupełnie już rozmiękłe cygaro.

– Powariowali! – Nagle pewne ustępy listu stryja stanęły mu przed oczyma. – No tak – westchnął z rezygnacją – to jednak mogło tłumaczyć bardzo wiele.

Znowu czyjeś kroki. Przyciszony szmer odgłosów. Widocznie za drzwiami naradzano się.

Wreszcie drzwi uchyliły się ponownie, przytrzymywane łańcuchem.

– Jack?

Ucieszył się, poznając głos kuzynki.

– Kay! – zawołał radośnie. – Wpuść mnie wreszcie, na litość boską! Jeszcze chwila wystawania pod drzwiami i roztopię się w wilgoci jak baranek z cukru.

Łańcuch opadł z przeciągłym brzękiem. Obszerny hall tonął w powodzi światła.

– Myślałem już, że nigdy nie dostanę się do waszego sezamu – śmiał się ściskając ręce kuzynki.

Śmiech nie wywołał jednak żadnego refleksu na bladej twarzy dziewczyny.

– Bo widzisz... – urwała z wahaniem.

Spojrzał na nią zdumiony. Ten drżący głos?

Kay była zawsze uosobieniem energii. Dopiero teraz dojrzał ściągnięte rysy niemal przezroczystej twarzy. Głębokie cienie pod oczyma dziewczyny też miały swoją wymowę.

– Co się u was stało? – Zaniepokoił się nagle. – Stryj mnie wzywał, a...

Potrząsnęła głową ruchem pełnym dziwnej bezradności.

– Daddy cię wzywał? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

– Tak. I to do tego takim listem, że czym prędzej przerwałem urlop...

Stłumiła westchnienie.

– To... to dobrze, że przyjechałeś.

– Ale powiedz mi, Kay, co się u was stało? – nalegał.

Wargi jej zadrżały. Widać było, że chciała coś powiedzieć. Nie powiedziała jednak. Z rezygnacją machnęła ręką.

– To... to nie jest takie proste – bąknęła wreszcie.

Aż drgnął, uderzony głuchym brzmieniem jej głosu.

– Ale chyba nic specjalnie złego? – Ujął jej rękę. – Powiedz, Kay!

Popatrzyła niewidzącymi oczyma w przestrzeń.

– Wołałabym, żebyś przede wszystkim porozmawiał z ojcem. Tatuś nie chce, żeby... – znowu urwała w pół zdania.

– Chodźmy.

Jack wskazał znaczącym kiwnięciem głowy tarczę zawieszonego na ścianie zegara.

– To stryj jeszcze nie śpi? O ile pamiętam, dawniej wcześniej kładł się do łóżka.

Splotła palce rąk.

– Dawniej... – Przeciągły dźwięk zawibrował w jej krtani, zamierając, zanim zdołał zrozumieć jego znaczenie. – Tak... Dawniej. – Potrząsnęła z wysiłkiem głową, jakby odpędzając jakąś natrętą myśl. – Co tam... – Słowa brzmiały niemal twardo. – Teraz za to ojciec nie sypia prawie nigdy.

– Ooo! Panicz Jack!

Z głębi hallu przydreptała staruszka w sztywno nakrochmalonym, rurkowanym czepcu. Pomarszczona twarz jaśniała radością.

Jack wyciągnął serdecznym ruchem rękę.

– Ładnie, Zuzanno – pokiwał z udanym wyrzutem głową. – Nigdy bym nie przypuszczał, że Zuzanna będzie mnie trzymać przed zamkniętymi drzwiami.

Stara służąca potrząsnęła energicznie głową.

– Ja? Nic podobnego – zaprzeczyła z oburzeniem. – To Kate... – nagle umilkła zamyślając się głęboko. – Ale... – Spochmurniała.

– Panienko – dotknęła łokcia Kay – przecież... – nachyliła się do jej ucha, szepcząc coś niewyraźnie.

– Ach tak, prawda. – Kay podniosła oczy na Jacka. – W jaki sposób dostałeś się do ogródka?

W jej wzroku migotała skupiona czujność.

Jack wzruszył lekko ramionami.

– W bardzo zwyczajny. Po prostu furka była otwarta. Nawet trochę mnie to zdziwiło.

– Furka była otwarta – powtórzyła jak echo. Po twarzy jej przebiegł skurcz.

Zuzanna załamała ze zgrozą ręce.

– Święty Patryku ratuj! Sama ją...

– Cicho! – Kay położyła rękę na ramieniu staruszki – zawołanie nic nie pomoże.

– Powiedzcie Johnowi, żeby zamknął. I niech przepatrzy po drodze ogródek.

– Czy... – zaczął Jack – myślisz, że ktoś niepowołany...

– Chciałabym, żebyś teraz porozmawiał z ojcem – powiedziała z naciskiem.

Unikając dalszych pytań, ruszyła w kierunku schodów.

Jack bez słowa podążył za nią. Atmosfera panująca w domu zaczęła mu działać na nerwy. Nigdy nie odczuwał lęku przed zdarzeniami konkretnymi. Ale tu od pierwszej chwili sytuacja robiła jakieś niesamowite wrażenie. Te ustawiczne niedomówienia Kay.

Co się tu dzieje? – zastanawiał się. – I czego oni się wszyscy tak bardzo obawiają?

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że lęk jest dominującym uczuciem mieszkańców tego domu. Przynajmniej tych, których spotkał dotychczas.

Czyżby i Robert uległ tej psychozie? Jakoś nie mógł sobie wyobrazić barczystego sportowca w sytuacji, która by go zmusiła do lęku.

II. Jaka będzie przyczyna śmierci następnej ofiary...

Kay zastukała energicznie w lśniąca taflę polerowanych drzwi.

– Kto... kto tam?

Znowu te nutki trwogi w pytaniu.

– To ja, Kay i...

Nie zdążyła jednak skończyć.

– Wejść Kay!

Koścista ręka stryja pospiesznie umknęła od na wpół otwartej szuflady biurka. Spojrzenie wyblakłych oczu badawczo uderzyło w Jacka.

– Ach to ty, Jack? – We wzroku zamigotało nieukrywane zdumienie.

Podniósł się ociężale, zasuwając szybko szufladę. Nie tak jednak szybko, by Jack nie zdążył dojrzeć czarnego kształtu, leżącego na samym wierzchu, pistoletu.

Z trudem powstrzymał chęć gwizdnięcia przez zęby. Profesor Królewskiego Uniwersytetu z pistoletem pod ręką? Coraz lepiej!

Udał jednak, że nie zauważył niczego niezwykłego.

– Zmizerniałeś porządnie, stryjasku. – Ścisnął serdecznie dłoń starego dżentelmena. – I ty, i Kay. Stało się u was coś niedobrego? Bo Kay nie chciała nic mówić...

Profesor wzruszył ramionami.

– Tak! – potwierdził bezdźwięcznie. – Zmizernieliśmy oboje. I stało się bardzo wiele... – Przygryzł żółkłymi zębami bezkrwiste wargi. – Siadaj – wskazał głęboki fotel.

Jack wyciągnął się wygodnie na elastycznych sprężynach. Zmęczenie wielodniową podróżą tkwiło solidnie w kościach.

Profesor podsunął misternie inkrustowaną skrzynkę.

– Zapalisz?

– Z rozkoszą. – Jack nie dał się namawiać. – Prawdę powiedziawszy, ostatnie cygaro użyłem raczej jako prymkę.

Otoczył się kłębamii wonnego dymu. Profesor Hoppe umiał dobierać gatunki cygar.

Zapadła przeciągła cisza. Poczul przemożne rozleniwienie ogarniające całe ciało. Nie chciało mu się uczynić nawet najsłabszego ruchu.

– Tak – odchrząknął profesor. – Dobrze się stało, żeś przyjechał. Widocznie opatrzność sprowadziła cię tutaj... Choć – urwał wbijając wzrok w ozdobiony zawitym ornamentem sztylet leżący na biurku – kto wie, czy swój przyjazd w rezultacie będziesz mógł zapisać na dobro losu, bo...

Jack zamrugał powiekami. Był zaskoczony nie na żarty.

– Opatrzność? Los? – powtórzył. – Jak to? Przecież stryj mnie wzywał?

Starszy pan drgnął. Wzrok jego stał się niemal ciężki do zniesienia. Podeszedł ku Jackowi, ujmując jego ramiona w twardy chwyt kościstych palców.

– Wzywałem cię? – Zajrzał mu głęboko w oczy. – Ja? W jaki sposób?

Jacka ogarniało coraz większe zdumienie.

– Nic nie rozumiem – mruknął. – Przecież ten list, w którym... – sięgnął do kieszeni chcąc wydobyć portfel – mam go nawet przy sobie. Czyż to nie stryj go pisał?

Wąskie wargi starego dżentelmena utworzyły jedną kreskę.

– Tak – puścił ramiona Jacka – pisałem do ciebie kiedyś list wzywając do przyjazdu. To było dawno. Ale ja tego listu nie wysłałem. Zaszły pewne okoliczności, które... Ja tego listu nie wysłałem – powtórzył z naciskiem, wlepiając badawcze spojrzenie w twarzyczkę córki.

Kay wzruszyła leciutko ramionami.

– Ja także nie – powiedziała cicho.

Jack strzelił palcami.

– Dziwne – mruknął – w każdym razie ktoś musiał go wysłać, skoro mi doręczono.

Profesor przesunął wierzchem dłoni po czole.

– Dziwne? Cóż... Dużo bardzo dziwnych rzeczy dzieje się w tym domu. – Powłócząc nogami po puszystym dywanie, ruszył w kierunku biurka... – I... nie tylko dziwnych – dodał osuwając się ciężko na fotel o wysokim, bogato rzeźbionym oparciu.

Jack dopiero teraz rozróżnił w motywie rzeźby stylizowane sploty węzowych ciał. Znowu przypomniał sobie treść listu. Był tak niezwykle, że pamiętał niemal każde słowo.

Wparł plecy w miękkie poduszki.

– Czy to wezwanie straciło na aktualności?

Profesor wydawał się bez reszty zajęty oglądaniem zawilego ornamentu sztyletu, który wziął z biurka.

– Był czas, że tak myślałem – nie odrywał wzroku od matowego ostrza z brązu – ale teraz... A przecież przysłowie mówi, że piorun nigdy nie uderza dwa razy w to samo miejsce – zakończył niezrozumiale.

Zdławiony dźwięk głosu działał na Jacka coraz bardziej przygnębiająco. I te ciągle niedomówienia...

– A jak się powodzi Robertowi? – rzucił pytanie chcąc wprowadzić rozmowę na bardziej uchwytne tory.

Drgnął słysząc odgłos dobiegający od fotela, na którym siedziała Kay. Nie widział jej twarzy, gdyż raptownie odwróciła głowę, odgłos jednak do złudzenia przypominał zduszony szloch.

Twarz profesora zastygła w skurczu, przypominając jedną z azteckich masek rozwieszonych po ścianach gabinetu.

Podniósł rękę do czoła, opadła jednak bezwładnie w połowie drogi.

Jack przesunął pytającym spojrzeniem od kuzynki ku stryjowi.

– O co znów chodzi? Czy Robert wyjechał? – Zdecydował się wreszcie przerwać milczenie, które stawało się nieznośne.

Profesor odłożył raptownie sztylet, aż metal zadrżał wibrującym dźwiękiem.

– Robert... Robert nie żyje. – Urywany głos wydobywał się jak spod ziemi.

Jack zerwał się na równe nogi.

– Co? – Wlepił w twarz stryja rozszerzone zgrozą spojrzenie. – Co się stało Robertowi? Chyba się przesłyszał. To przecież niemożliwe, żeby...

– Robert nie żyje – powtórzył drewnianym głosem profesor.

Jack opadł bezwładnie z powrotem na fotel. Zdawało mu się, że mózg drętwieje pod nagle obolałą czaszką. Wciągnął ze świstem powietrze. Te trzy słowa ogłuszyły go jak celny nokaut. Czuł pot występujący na czoło. Nie był jednak zdolny podnieść ręki, by obetrzeć spływające powoli krople.

Twarcz profesora wciąż robiła wrażenie kamiennej maski.

Z wysiłkiem walczył z bezwładnością języka.

– Ale... ale przecież wtedy, gdy stryj pisał do mnie list... i... – Umilkł bezradnie, nie będąc w stanie sformułować pytania.

Stryj jednak zrozumiał. Wzrok jego przywarł do nieprzeniknionej czerni leżącej na okiennych szybach.

– Tak... Wtedy, gdy pisałem list, Robert jeszcze żył. Później także... Umarł niespełna dwa tygodnie temu.

Pod powiekami coś Jacka zapiekło. Kochał Roberta niemal jak brata.

– Nie żyje? – Niezmiernie trudno było uwierzyć w tę wiadomość. Przed oczyma stanęła barczysta postać wspaniale zbudowanego młodzieńca.

Gdy się ostatni raz widzieli, przygotowywał się do mistrzostw bokserskich. Był pełen nadziei, że zdobędzie jedno z pierwszych miejsc. A teraz... Opanowywał się całym wysiłkiem woli.

– Tak mi strasznie... tak niewymownie przykro – szepnął. – Czy – zwilżył językiem wyschłe wargi – czy katastrofa nastąpiła nagle?

Kay odsunęła powoli dłonie, którymi dotychczas zakrywała twarz.

– Tak. – Słowa rwały się od powstrzymywanego siłą łkania. – Zupełnie nagle. Zapaść sercowa.

Profesor sięgnął ku stojącej na biurku szklance napełnionej jakimś brunatnym płynem. Pił drobnymi łyżkami, przy czym grdyka poruszała się, jakby przełknięcie każdej kropli stanowiło bolesny wyczyn.

– Zapaść sercowa – powtórzył w ponurym zamyśleniu. – Ta sama zapaść, na którą umarł w zeszłym miesiącu nasz kamerdyner Johnson.

Kay podbiegła ku niemu.

– Ależ tatuśku – nachyliła się nad nim przytulając twarz do pooranego głębokimi zmarszczkami policzka – przecież u Johnsona doktor Jacoby stwierdził udar mózgowy.

Żarliwy nacisk słów wskazywał, że za wszelką cenę pragnie przekonać ojca o prawdzie tego, co mówi. Niemal błagała, by uwierzył.

Profesor ujął z powrotem odłożony przed chwilą sztylet.

– Słusznie – rzucił w przestrzeń. – Doktor Jacoby stwierdził... Ciekawym – przełknął głośno ślinę – jaką przyczynę zgonu stwierdzi u następnej ofiary, na którą przyjdzie teraz kolej?

III. Zamknięty pokój

Noc ciągnęła się jak guma. Jackowi wydawało się, że nigdy nie będzie miała końca. Tragiczna wiadomość wierciła dokuczliwym cierniem w obolałym mózgu. Co miały znaczyć ostatnie słowa stryja? Czyżby naprawdę istniały jakieś dane, że Robert zginął gwałtowną śmiercią?

Przewracanie się z boku na bok nie przynosiło najmniejszej ulgi. Sen nie nadchodził.

Gdy rano wychodził ze swego pokoju, czuł się jeszcze bardziej zmęczony niż bezpośrednio po przebyciu wielu tysięcy mil pospiesznej podróży ze słonecznej wyspy.

Przy stole zastał tylko Kay. Fotel stryja świecił pustką. Na ledwo dostrzegalne pytanie w spojrzeniu Jacka, Kay uśmiechnęła się smutno.

– Ojciec kazał cię bardzo przeprosić za swą nieobecność, ale... – zawahała się przez króciutką chwilę – pracuje. Ostatnio bardzo wiele czasu spędza przy pracy – zakończyła cicho.

Jack ze zrozumieniem pokiwał głową. Cóż dziwnego, że starszy pan po takiej tragedii nie ma głowy do zachowania ceremonialnych grzeczności? Zresztą nie uważał się za gościa w tym domu. Traktował go prawie jak rodzinny.

Zwarł szczęki, widząc w pełnym świetle dnia tragicznie zmienioną twarzyczkę kuzynki. Robiła wrażenie nikłego cienia dawnej Kay. Musiała niezmiernie boleśnie odczuć katastrofę. Zupełnie zrozumiałe. Bardzo kochała Roberta. Próbował ją trochę ożywić zahaczając o neutralne tematy. Nic jednak nie wychodziło. Zdał sobie wreszcie sprawę, że pomimo pozorów słuchania nie zrozumie ani słowa z tego, co mówił.

Raz po raz wzrok jej zastygał, wpatrzony w niewidzialny punkt. Sądząc po wyrazie twarzy, myśli przebiegające pod strzechą płowych włosów nie należały do specjalnie wesołych.

Nie dziwił się ani trochę. Jemu też było niezmiernie przykro.

– Kiedy będę mógł porozmawiać ze stryjem? – zapytał, gdy znużonym ruchem odstawiała opróżnioną filiżankę.

– Co? – spojrzała nań niemal nieprzytomnie.

– Ach tak... – przesunęła ręką po czole – tatuś... prosił, żebyś zaszedł do niego po południu.

Zerknął w kierunku tarczy zegara. Po południu? Czekanie tyle godzin wydało mu się nagle ponad siły. Jeżeli rzeczywiście w śmierci Roberta tkwiła jakaś tajemnica?

– Kay – zaczął łagodnie – ja cię okropnie przepraszam, kochanie, ale... – urwał szukając odpowiednich słów. To nie było takie łatwe.

– Za co mnie przepraszasz? – Podniosła powoli głowę.

– Widzisz... zająknął się – chciałbym wiedzieć, co stryj podejrzewa...

Drgnęła. Wąskie palce, leżące bezwładnie na obrusie, zacisnęły się kurczowo.

– Masz na myśli – głos jej się załamał – śmierć Roberta?

– Tak. – Wlepił spojrzenie w talerz. Męka malująca się na pobladłej twarzy godziła niemym wyrzutem prosto w serce.

– Ja... ja nie wiem. – W źrenicach zaszklily się powstrzymywane łzy. – Nigdy nie powiedział tego wyraźnie. Ale...

Widać było, że wypowiedzenie każdego słowa sprawia jej niewymowną trudność. Zaprzagnął przyjść z pomocą.

– Jak... jak się to stało? – poddał.

– To... było dwudziestego lipca. Rano Robert nie wychodził długo ze swego pokoju. Nie odzywał się pomimo pukania. Tatuś... Tatuś od razu się zaniepokoił, jakby przeczuwając nieszczęście. Ja wybierałam się właśnie na partię tenisa. Wychodziłam, gdy tatuś mnie zatrzymał. Sprowadził ślusarza. Gdyśmy weszli do pokoju Roberta... – głos zadrgał tłumionym szlochem... – Robby... siedział przy swoim biurku... wydawało nam się, że zasnął... Ale... Ale już był sztywny...

– Drzwi były zamknięte?

– Tak. Na klucz. Od środka.

– A... okno?

– Okno? – Znowu potarła czoło. – Okno? – powtórzyła zamyślając się. – W oknach tatuś miesiąc przed tym kazał wprawić stalowe kraty. We wszystkich. Bez wyjątku.

Jack poruszył się gwałtownie na krześle.

– W takim razie... Skoro zamknięte drzwi i kraty? Nie rozumiem...

– Ja też nie rozumiem. Może ojciec myślał, że trucizna... Nie znaleziono ani śladu...

– To...?

– Tak. – Zrozumiała niedopowiedziane pytanie. – Robby'ego pokrajali. Tatuś tego żądał. Boże – wybuchnęła nagle niepowstrzymanym łkaniem. – Boże, jakie to wszystko okropne...

Podbiegł ku niej, obejmując wstrząsane spazmem ciało opiekuńczym ramieniem.

– Uspokój się Kay... Uspokój się biedactwo. Ja rozumiem... ale to już...

Przygarnęła się ku niemu jak bezbronne pisklę szukające opieki.

– Jakiś ty dobry, Jack... Zawsze byłeś dla mnie dobry. Żebyś wiedział, jak... ciężko...

Jak strasznie ciężko. – Spazm powoli cichł.

Jack nie wypuszczał jej z objęcia dłuższą chwilę.

– No maleńka – posadził ją ostrożnie na fotelu – już jesteś dzielną dziewczynką, prawda?

– Tak... – wargi drgnęły w bolesnym uśmiechu – już...

– Czy nie wiesz dlaczego stryj... – odezwał się po chwili milczenia – dlaczego... – urwał nie mogąc sformułować dalszego ciągu pytania – nno... skąd te jego podejrzenia?

– Nie wiem. Tatuś po... po tym nieszczęściu stał się taki dziwny... Przed tym... Przed tym także. Zresztą my wszyscy staliśmy się dziwni w tym domu... Chwilami brakuje sił, żeby... Wybacz... – Wybiegła spieszenie z pokoju.

Biedactwo – pogonił za nią wzrokiem – pewno chce się wypłakać w ukryciu. Serce ogarniała fala ciepłego współczucia. Biedna mała siostrzyczka.

Przez parę następnych godzin tkwił bez ruchu w przepaścistym klubowcu ćmiąc papierosa za papierosem. Myśl pracowała z wysiłkiem nad rozwiązaniem zagadnienia. Dlaczego stryj podejrzewał jakąś tajemnicę śmierci Roberta, skoro wszystkie okoliczności katastrofy świadczyły, że śmierć nie mogła nastąpić w żaden inny, tylko naturalny sposób? I czego obawiał się w przyszłości?

IV. Bogini Matka

Profesor zastanawiał się nad każdym słowem.

– Widzisz, zaczęło się to mniej więcej przed trzema miesiącami. To jest... – obserwował przez chwilę dym ulatujący z cygara – może zaczęło się znacznie wcześniej, ale przed dwoma miesiącami zaszedł fakt bardziej konkretny od poprzednich. Mianowicie włamano się do tego domu...

Jack słuchał przetrawiając w mózgu.

– Jednak nie widzę związku...

Profesor podniósł rękę.

– Poczekaj. W tej historii wszystko ma ze sobą związek. Otóż włamanie miało dość dziwny charakter. Przedostano się przez drzwi prowadzące na taras. Droga rabusia prowadziła przez stołowy... Sam wiesz, jakiej wartości są srebra znajdujące się w nie zamkniętym kredensie. Nie mówiąc już o porcelanie. Nie ruszono jednak ani jednej sztuki.

– Więc nic nie zrabowano?

Wzrok profesora utkwiał w ohydnej masce wiszącej na ścianie.

– Owszem – oświadczył po chwili z ledwo dostrzegalnym wahaniem w głosie – jednak skradziono coś.

– Coś wartościowego?

Znowu wahanie.

– Tak.
Jack podniósł się z fotela.
– No, widzi stryj. Zagadka włamania wytłumaczona. Dlatego nie ruszono innych przedmiotów, że skradziono najcenniejsze...
Stryj zaprzeczył.
– To nie jest takie proste. Bo widzisz, wartość tego, co zabrano, jest względna. Włamywacz musiałby obejść dziesiątki tysięcy ludzi, by znaleźć nabywcę. Każdy paser wyśmiałby propozycję nabycia tego rodzaju łupu. Chyba że... – urwał wpadając w zadumę. Zdawał się zapominać o obecności Jacka.
– Chyba że co? – poddał Jack.
Profesor potarł knykciami palców podbródek.
– Nie, nic. Głupstwo. Tak, głupstwo – powtórzył wzruszając ramionami. – Jednym słowem większość ludzi nie schyliłaby się nawet, by podnieść spod swoich nóg przedmioty w tym rodzaju.
– A jakie mianowicie? – zapytał wprost Jack.
Profesor podniósł się ociężale, podchodząc ku grubej pluszowej zasłonie.
– Pokażę ci te, które pozostały – odsunął portierę.
Jack spojrzał z niekłamanym zdumieniem na pancerną płytę drzwi. Robiła wrażenie wejścia do skarbcza. To było w każdym razie coś nowego. Nieraz bywał przed laty w gabinecie stryja i nie zauważył niczego w tym rodzaju.
Profesor otwierał skomplikowane wyciętymi kluczami trzy kolejne zamki. Gdy wreszcie szczęknięt ostatni, potężna płyta odsunęła się z lekkim zgrzytem, odsłaniając mroczną czelusć, pozbawioną najsłabszego choćby promyka światła.
Sucho szczęknięt przekręcany wyłącznik. Z mlecznej kuli zawieszanej u sufitu spłynęła fala światła.
Jack cofnął się odruchowo.
Olbrzymia twarz, która wyłoniła się z mroku, zdawała się iść na spotkanie intruza. Uśmiech przepojony żądzą krwi przypominał echo jakiegoś męczącego koszmaru. Ze ścian patrzyły pustymi oczodołami potworne maski. Wyrzeźbione z kamienia węże robiły wrażenie żywych.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI